

KATARZYNA
ZYSKOWSKA-IGNACIAK
WIECZNA
WIOSNA



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2014
Text © copyright by Katarzyna Zyskowska-Ignaciak, 2014

Projekt okładki i layoutu serii *Katarzyna Borkowska*
Zdjęcie na okładce © Sandra Ludewig/Picture Press/Getty Images

Cytat z *Miłości w czasach zarazy* Gabriela Garcíi Márqueza
za przekładem Carlosa Marrodána Casasa

Jedynym bólem, jaki przeraża w śmierci, jest to,
że można umrzeć nie z miłości.

GABRIEL GARCIA MARQUEZ,
Miłość w czasach zarazy

Wyszła przed gmach Centrum Onkologii i mocniej otuliła się płaszczem. Wiatr się wzmógł i uderzyła ją nieprzyjemna fala chłodu. Widocznie temperatura spadła o kilka stopni, bo wszystko dookoła pokryło się lepką warstwą marznącego deszczu, który mieszając się na chodniku z resztkami przegniłych liści, zaczął tworzyć brudną maź. Na schodach minęła ją dziewczyna, może dwudziestoletnia, która wspierając się na ramieniu starszej kobiety, z trudem pokonywała kolejne stopnie. Na głowie miała fikuśną czapkę z wielkim pomponem – nic dziwnego, było tak przejmująco zimno – ale w jej bladej twarzy coś zaintrygowało Łucję, coś innego, nienaturalnego, przykuło uwagę. Czegoś w tej twarzy brakowało, jakiegoś drobnego, choć nieodzownego elementu. Dopiero kiedy dziewczyna ją minęła, Łucja uświadomiła sobie, że tamta nie miała brwi. Brwi i rzęs. Dziwnie wyglądała taka twarz, jak portret niechlujnego malarza bądź nieudolny rysunek dziecka. Wydawała się niedokończona, niepełna, naga. Bezbronna? „A więc taka będę już wkrótce” – przemknęło jej przez głowę i dopiero owa upiorna konkluzja sprawiła, że w pełni dotarły do niej słowa Leona.

„Nie będę miała piersi, włosów, nawet brwi. Nie będę miała swojego dawnego życia. Nie będę taka jak dawniej, ponieważ nic już nie będzie jak dawniej. Choroba wszystko zmieni i pogwałci. Wedrze się w moje ciało, zawładnie każdą czynnością, wyborem, ruchem i zdeteminuje codzienność. Pozostawi mnie bezbronną, bezsilną, bezwłosą...”

Poczuła, jak w środku dygocze, jak się rozpada pod naporem tych myśli – musiała przed nimi uciec, czym prędzej znaleźć się daleko stąd. Zbiegła więc ze schodów

i nie oglądając się za siebie, wpadła na podjazd dla karetek. Jakiś przejeżdżający tamtędy samochód zatrzymał się w ostatniej chwili tuż przed jej nogami – tak, że aż w uszach Łucji zagrał metaliczny gwizd klocków hamulcowych. Kątem oka zobaczyła, jak wkurzony kierowca wymownie puka się w czoło, a jego wykrzywione usta układają się w jedno krótkie słowo: „idiotka”. Powinna się zatrzymać, wygarnąć mu, ale nagle ogarnęła ją kompletna niemoc. Teraz nic nie miało znaczenia.

Dopadła do swojego samochodu porzuconego na obrzeżach szpitalnego parkingu i wsiadła do środka. Przez chwilę ciężko oddychała, patrząc na zimne krople spływające po przedniej szybie – jej tafla w kilka sekund zaparowała, odgradzając Łucję od jesiennej szarugi.

Pewnie powinna się była teraz rozplakać, ludzie chyba płaczą w takich momentach – bezsilności i strachu – ale wciągnęła jedynie głęboko w płuca powietrze i rozpięła płaszcz na piersi. Z lękiem sięgnęła dłonią za dekolot sukienki – po raz pierwszy od chwili badania. Może to wszystko tylko zły sen, może nic tam już nie znajdzie? Znalazła. Pod koronką stanika na lewej piersi wyczuła szorstkie zgrubienie opatrunku po biopsji. Rana już dawno się zagoiła, nie bolała, i tylko dookoła plastra rozlewały się resztki żółknącego siniaka. Powinna była już dawno odkleić gazik, ale z jakichś irracjonalnych powodów nie potrafiła się przemóc. Wołała zostawić tę dodatkową barierę między nią a tym czymś czającym się wewnątrz piersi. Tym czymś... Bo przecież pod warstwą gazy, pod skórą, w otulinie z tkanki tłuszczowej wciąż drzemał włóknisty intruz – rak, wbijający się szczypcami w resztę zdrowych tkanek. A Łucja nie chciała go rozjuszyć, roz-

gniewać, obudzić, więc przez ostatnie dni w ogóle przestała dotykać tego miejsca. Przestała na nie patrzeć w lustrze, kiedy się rozbierała, przestała o nim myśleć...

Nigdy nie była specjalnie przywiązana do swojego wyglądu. W ogóle nie należała do kobiet przykładających zbyt wielką wagę do powierzchowności. Jedyнным jej dziwactwem było zamięłowanie do kolorowych ubrań – według jej córki zbyt kolorowych i szalonych jak na ukończone czterdzieści pięć lat – których podobno na domiar złego nie potrafiła właściwie zestawić. Ale mylił się ten, kto sądził, że nietypowymi strojami Łucja próbowała przyciągnąć czyjąś uwagę, że był to żaloszny przejaw ostentacji przekwitającej kobiety. Przeciwnie, barwa stanowiła zasłoneę dymną, kamuflaż, za którym ludzie nie dostrzegali jej samej, a jedynie te niedorzeczne ciuchy. Poznanie prawdziwej twarzy Łucji uniemożliwiała zazwyczaj kolorowa bariera, pod którą czuła się przezroczyista i bezpieczna. Ot i cała tajemnica jej ekstrawagancji.

A poza tym wydawała się sobie nijaka. Mysie blond włosy, w typowo słowiańskim odcieniu, przez całe życie ścinała dość krótko, bo tak jej było najwygodniej, i rzadko się malowała. Długo też na swojej twarzy nie dostrzegała upływu czasu i dopiero niedawno zaczęła używać kremów przeciwmarszczkowych. A właściwie to Marek – czyniąc tym samym niezbyt delikatną aluzję do jej wieku – podarował Łucji na urodziny jakiś piekielnie drogi zestaw pielęgnacyjny. Zaczęła te mazidła stosować, ale bez zbytniego przekonania.

A reszta ciała...? Ciało to tylko ciało. Nie czuła się seksowna. Zresztą co to za idiotyczne słowo: seksowna? To określenie sprowadza kobietę do roli ładnego przed-

miotu, Łucja nie chciała czuć się w ten sposób, nie chciała, by na jej widok wszyscy mężczyźni doznawali nieustającej erekcji, bo uważała, że nie da się zmierzyć życiowego spełnienia liczbą podnieconych facetów. Była więc zwyyczajna, przeciętna i dobrze się z tym czuła. Może i miała na brzuchu niewielką oponkę, która lata temu pojawiła się podczas ciąży, a później nijak nie chciała zniknąć, ale Łucja nie przywiązywała do tego specjalnej wagi, nie katowała się dietami.

No i zawsze miała małe piersi, którym jędrność odebrało wykarmienie dwójki dzieci, ale dotąd ich wygląd, kształt i wielkość raczej jej nie zastanawiały. Po prostu miała te piersi i tyle.

Miała. A teraz jednej z nich nie będzie. Tak po prostu. Po prostu? W jej miejscu zostanie jedynie puste miejsce przeorane blizną...

Tak, teraz Łucja powinna zapłakać. Nad sobą, nad stratą. Powinna wykrzesać z siebie jakieś emocje... A jednak zupełnie niczego nie czuła, jakby w środku była pusta.

Zapięła płaszcz, włączyła silnik i wyjechała na ulicę. Zamiast w stronę Kabat odruchowo skręciła do Śródmieścia. Nie wiedziała, dlaczego właśnie tam chciała się teraz znaleźć, dlaczego nie pojechała do domu albo prosto na Ochotę, do szpitala, do Marka. Do męża. Po prostu ruszyła przed siebie.

Wybrała numer w komórce. Dwa sygnały, lekki trzask:

– Cześć, mamó – usłyszała wesoły głos swojej córki.

– Nelu, jesteś teraz w mieszkaniu?

– Jestem. Mam konsultację u promotora, ale to dopiero o szesnastej. A dlaczego pytasz?

Dlaczego...? Łucja nie miała w zwyczaju składać jej niezapowiedzianych wizyt. Nie chciała być postrzegana przez córkę jako nadopiekuńcza, toksyczna matka i starała się szanować jej intymność. Nic dziwnego, że niespodziewany „nalot” wywołał w Kornelii lekki niepokój.

– Po prostu chciałabym cię zobaczyć – skłamała, starając się panować nad głosem.

Na telefonicznym łączu zapadła cisza, a wreszcie Nela zapytała z wahaniem:

– Mamo, stało się coś... złego?

Tak, tak. Tak! – bardzo chciała teraz krzyknąć, chciała się rozpłakać w słuchawkę, wałnąć na odlew dłonią w kierownicę, by dać upust emocjom, ale jedynie zacisnęła zęby i rzuciła jakąś banalną wymówkę, żeby córka się nie martwiła. A później szybko się rozłączyła, by nie dać Neli szansy na zadanie kolejnych pytań. Bo jak miała na nie odpowiedzieć?

Łucja próbowała o tym teraz nie myśleć. Skupiła się na manewrowaniu pośród sunących leniwie samochodów. Im bliżej była centrum, tym bardziej ruch się wzmagał. Warszawa jest zakorkowana o każdej porze roku, ale wystarczy, by spadł większy deszcz lub śnieg, a ogarnia ją prawdziwy paraliż. Zwykle Łucji to nie przeszkadzało – rzadko gdzieś się spieszyła – ale dziś, tkwiąc pośrodku bezkresnego morza innych aut, czuła narastającą irytację i bezsilność.

Znowu bezsilność.

Nie znosiła jej. Do tej pory zazwyczaj nad wszystkim w swoim życiu panowała. Wszystko miała usystematyzowane, równo poukładane na odpowiednich półkach codzienności. Każdy najdrobniejszy szczegół dnia był prze-

myślany i odpowiednio zaplanowany, miał swoje miejsce i czas. Nic nie działo się przypadkiem, z zaskoczenia. Aż do dzisiaj.

A jeszcze dwa tygodnie temu...

Wraz z początkiem listopada i pojawieniem się pierwszych ozdób, którymi zaczęto dekorować sklepy, Łucja coraz częściej zaczynała myśleć o świętach. Chociaż trzeba przyznać, że jesień długo w tym roku była łaskawa i jeszcze po Wszystkich Świętych zdarzały się słoneczne dni. Jak tamten – ten który miał wszystko zmienić... Taki przyjemny, dobry dzień.

Rano podała Markowi śniadanie, a później odwiozła go na Banacha, bo jego samochód był w przeglądzie. Podrzuciła rzeczy do pralni i zrobiła zakupy. W drodze powrotnej do domu zadzwoniła do niej Nela – musiała zabrać jakieś rzeczy ze swojego pokoju, więc zapowiedziała, że wpadnie do nich wieczorem. Łucja tak bardzo się ucieszyła na jej wizytę.

Każdej matce w którymś momencie przychodzi pogodzić się z odejściem dzieci z domu, choć ta chwila zawsze wydaje się bardzo odległa. Dopiero co je urodziła, nosiła na rękach, zmieniała pieluchy, była dla nich całym światem, potrzebną osobą, aż tu nagle się okazuje, że są już dorosłe, chcą mieć własne życie, własne sprawy i wcale nie muszą być prowadzone za rękę. Łucja nigdy nie sądziła, że jej rozłąka z dziećmi nastąpi tak szybko i okaże się równie trudna. Że niemal każdego dnia będzie podświadomie czekać na jakąkolwiek wiadomość, na telefon.

Z chwilą gdy kilka tygodni temu Nela się wyprowadziła, Łucja zaczęła widywać ją sporadycznie. Rozumiała, że córka ma teraz wiele na głowie: ostatni rok studiów,

pracę magisterską, a dodatkowo, żeby uniezależnić się finansowo od ojca, zaczęła sprzedawać swoje prace. Jednak w głębi duszy miała nadzieję, że do kupionego przez Marka mieszkania Kornelia przeniesie się dopiero po dyplomie. Chciała, żeby córka jeszcze trochę czasu spędziła w rodzinnym domu i żeby wszystko zostało po staremu. Wystarczająco mocno przeżyła wyjazd Mikołaja przed rokiem... Medycyna w Poznaniu? Jej chłopiec sam z dała od domu? W przeciwieństwie do córki wciąż wydawał się Łucji taki niedojrzały, nieodpowiedzialny.

Przyjęto go także do Warszawy, ale jak osioł uparł się na ten Poznań. Podobno w rankingu wielkopolska uczelnia wypadła lepiej, no i tam wybierał się jego najbliższy przyjaciel. Próbowła wybić synowi ten pomysł z głowy, szukając poparcia u Marka – mąż skończył studia w Warszawie, więc przypuszczała, że choćby ze względów sentymentalnych będzie namawiał Mikołaja na rodzimą uczelnię. On jednak zdawał się nie podzielać obaw żony.

– Znam wielu wykładowców z poznańskiego Uniwersytetu Medycznego i bardzo ich cenię. Uważam, że Mikołaj dokonał właściwego wyboru – przekonywał. – Zresztą czas, żeby chłopak się usamodzielniał. Nie przeżyjesz przecież życia za naszego syna, Łucjo. Pozwól mu dorosnąć.

Więc pozwoliła. Osobiście w wakacje pojechała z Mikiem i jego kolegą, żeby pomóc im znaleźć mieszkanie. Sama kupiła mnóstwo rzeczy: talerzy, ścierek, garnków i ręczników, których Miki mógł potrzebować na „nowej drodze życia”. A wreszcie cały ten majdan spakowała i z bólem serca odwiozła syna na studia.

Starala się zachować spokój, lecz przez pierwsze tygodnie października nie mogła znaleźć sobie miejsca i jedynym pocieszeniem była jej wtedy Nela... Ale nie minął rok, a córka również postanowiła opuścić rodzinne gniazdo. Zostały więc tylko te telefony, rzadkie wizyty i wspólne święta, stanowiące obecnie najjaśniejszy punkt egzystencji Łucji. Może gdyby przez ostatnich dwadzieścia lat potrafiła zrobić coś dla siebie, żyć swoim życiem i myśleć o sobie, to teraz byłoby jej prośbiej? Może. Gdyby miała inne punkty zaczepienia, to przestałaby bezustannie na coś czekać? Oczekiwanie... Miała wrażenie, że żyje od jednego telefonu do drugiego, od jednej wiadomości od dzieci do drugiej.

Dlatego tamtego dnia po telefonie od Neli wracała na Kabaty z myślą o wspólnym wieczorze taka radosna i pełna energii. Postanowiła upiec coś dobrego na przyjście córki. Cynamonowe bułeczki, które Kornelia tak lubiła. Więc w domu wszystko na szybko: krótki spacer z psem i sprawny szturm kuchni; ochoczo zakasała rękawy, wysypała mąkę do miski, a już po chwili rozeszła się miękka woń rozpuszczającego się na gazie masła. Żeby tylko zdążyć przed wizytą córki, żeby od progu przywitał ją ów przyjemny, charakterystyczny zapach. Zapach domu i bezpieczeństwa. Zapach miłości.

Łucja zawsze wyrabiała ciasto ręcznie, bo nie ufała robotom kuchennym. Jak uczyła ją kiedyś matka, żeby drożdżowe dobrze wyrosło, trzeba w nie włożyć własne serce. Należy je rozgrzać wewnętrznym ciepłem i siłą, której istotnie niemało potrzeba do zagniatania. Owego dnia lepka masa wyjątkowo długo nie chciała zacząć odchodzić od jej palców i Łucja naprawdę się zmęczy-

ła. Toteż kiedy wreszcie zostawiła ciasto do wyrośnięcia, postanowiła wziąć szybki prysznic.

To był taki dobry, zwyczajny dzień...

Gdy poczuła zgrubienie pod palcami, najpierw je zignorowała. Dłonie miała zmęczone intensywnym wtlaczaniem pęcherzyków powietrza w drożdżową masę, palce opuchnięte i drżące – to niemożliwe, żeby coś wyczuły. Dotknęła piersi ponownie, w tym samym miejscu i... Coś dziwnego, jakby kulka grochu, delikatnie przesunęło się w miękkiej tkance pod naporem palców. Łucja mogłaby przysiąc, że myjąc się rano, tego „czegoś” tam nie było. Na pewno. Przecież by poczuła.

To.

W pierwszej chwili przypuszczała, że natrafiła na jakiś gruczoł lub powiększony węzeł chłonny, że to nic ważnego, że do jutra zniknie. Bo niemożliwe, żeby to było właśnie to. To się przydarza wyłącznie innym. Można o tym usłyszeć w telewizji albo przeczytać w kobiecej prasie. To może się przytrafić komuś obcemu, co najwyżej jakiejś dalekiej znajomej... Ale jej, Łucji? Nie, ona po prostu nie mogła być chora – bez trudu zdusiła w sobie niepokój.

Marek wrócił późno. Wkrótce po nim, jak po ogień, wpadła Kornelia. Przepraszała, ale nie mogła zostać na długo, ponieważ przywiózł ją przyjaciel i czekał przed domem. Zamieniły więc w biegu kilka zdań, cynamonowe bułki zostały szybko spakowane na wynos w papierową torebkę. „Kochana jesteś, mamuś, naprawdę kochana, dzięki za bułki, niepotrzebnie się narobiłaś, chociaż na pewno będą pyszne, ale teraz muszę lecieć”. I już jej nie było. A to „coś” w lewej piersi Łucji owszem. Tkwi-

ło w niej, kiedy prasowała Markowi koszule na wyjazd – następnego dnia rano leciał na kongres transplantologiczny do Barcelony – i kiedy przed północą skończyła go pakować. Było. Także nazajutrz rano, gdy odwoziła męża na lotnisko. Wciąż sobie w Łucji tkwiło. I najwyraźniej wcale nie zamierzało zniknąć.

Początkowo postanowiła pójść po prostu do przychodni, do lekarza pierwszego kontaktu. Nawet się zapisała – wizytę wyznaczono jej na następny dzień. Ale później zadzwonił Leon. „Co słyhać, jesteś jakaś markotna, stało się coś złego, bo głos masz dziwny?”. Tak długo wiercił jej dziurę w brzuchu, że w końcu pękła i napomknęła o swoim odkryciu. W końcu przyjaciel był onkologiem, mógł więc szybko rozwiązać jej wątpliwości. Na przykład powiedzieć: „Nic się, Łucjo, nie martw, to rzeczywiście tylko węzeł chłonny bądź też inne niegroźne coś”. Mógł, ale nie powiedział.

Jeszcze tego samego wieczoru siedział u Kornatowskich w salonie, a pocieszające „Nic się nie martw” ani razu nie padło z jego ust. Zamiast tego drobiazgowo wypytał Łucję, kiedy wyczuła guzek, w jakim jest miejscu, a wreszcie namówił – choć była okropnie tym skrepowana – żeby mu tę pierś pokazała. Idiotyczna sytuacja. Stary przyjaciel i jej obnażone ciało. Przez cały czas kiedy jej dotykał, głupkowato się uśmiechała i gadała coś bez sensu, próbując zagłuszyć stres. Leon natomiast wcale się nie uśmiechał. Z jego miny Łucja wywnioskowała, że jest mocno zaniepokojony. Kiedy już cała czerwona ze wstydu zapinała bluzkę, powiedział:

– Jutro wpadnij do mnie na oddział. Spróbuję jakoś załatwić ci mammografię i biopsję poza kolejnością.

– Jutro? Biopsję? To tylko... zgrubienie, a w dodatku takie małe. Może nie ma powodu, żeby się tak spieszyć? Trochę spanikowałam, fakt, ale to chyba nic takiego.

Popatrzył na nią z powagą.

– Nie, Łucjo, wcale nie jest małe i obawiam się, że od razu wykonamy biopsję gruboigłową, bo cienkoigłowa czasami daje błędne wyniki, a wtedy trzeba będzie badanie powtórzyć. Szkoda na to czasu i lepiej od razu mieć jasność, z czym mamy do czynienia. Zresztą nic się nie bój. Rana po pobraniu materiału wcale nie będzie duża, a sam zabieg nie boli, pierś znieczuliła się miejscowo.

Łucja miała widocznie niewyraźną minę, bo dodał:

– To dosyć rutynowa i prosta procedura medyczna. Bez obaw. Będę tam przy tobie. Szybko to załatwimy, a przynajmniej zyskamy pewność, że... – urwał.

„Pewność, że co? – pomyślała w duchu. – Że to nic takiego?”. Świetnie się czuła, więc chyba jasne było, że nic poważnego jej nie dolega.

Leon, jakby czytając przyjaciółce w myślach, dorzucił:

– Ta zmiana oczywiście nie musi być złośliwa, niemniej musimy czym prędzej się o tym przekonać.

– Ale może ja postaram się zapisać na badanie w jakimś normalnym trybie, pójdę do przychodni? Mam już umówioną wizytę. To nie w porządku, tak poza kolejką. Nie powinieneś... Ktoś ci zarzuci, że załatwiasz coś po znajomości, a nie chcę, żebyś miał przeze mnie nieprzyjemności. – Każda argumentacja była dobra, żeby tylko badanie odsunąć w czasie, choćby o kilka dni.

– Łucjo, przestań.

Zrozumiała, że nie będzie z nim dyskusji.

Następnego dnia, tak jak kazał, pojawiła się na oddziale i przeżyła wstrząs. Dla człowieka z zewnątrz emocje towarzyszące pobytowi w Centrum Onkologii trudno wytłumaczyć i Łucja też nad nimi z trudem panowała. Wszędzie chorzy, łysy głowy, dławiący w gardle zapach choroby, unosząca się wkoło wątpła nuta nadziei przesiąknięta bólem i rozczarowaniem. Strach. I ona w tym wszystkim. Ona – zdrowa, ona – „Nic mi nie jest”. Siedziała przed gabinetem jak sparaliżowana, ale w sumie zadowolona, że mogła załatwić to teraz, zaraz, kiedy Marika przez parę dni nie było w domu. Kiedy nie musiała mu tłumaczyć, gdzie się wybiera i po co. Nikt się nie dowie, co robiła przez cały dzień. Ani on, ani dzieci. Łucja nic im nie powie i nie będzie niepotrzebnie martwić, ponieważ – jak sądziła – sprawa na pewno szybko się wyjaśni i będzie po wszystkim.

Sprawa rzeczywiście się wyjaśniła.

* * *



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24 c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 53 g/m² wol. 2,4.*

PaperlinX

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*
Redakcja *Magdalena Adamska*
Korekta *Zofia Kozik, Monika Hałucha, Ewa Mościcka*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12742-6

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań